

Rozdział I

„Jeśli opiszesz swoją wioskę,
opiszesz świat”

Lew Tolstoj

Las jeszcze spał. Wyszedł z nory i wciągnął w nozdrza ciepły, delikatny powiew wiatru z południowego zachodu. To była pierwsza od długiego czasu noc bez przymrozków, jeden z nieśmiałych, marcowych zwiastunów nadchodzącej wiosny. To dobrze, to bardzo dobrze, bo jego starannie ukryte, zamaskowane darnią i liśćmi spiżarnie, które miał w pobliżu nory, były już puste. Zimą, co kilka dni obchodził swój rewir i znał je moczem, aby móc je łatwiej zlokalizować pod śnieżną pierzyną, nawet w nocy. Dwa dni temu rozgrzebał ostatnią z nich; była w niej jedynie niewielka, zaszuszone i niezbyt apetycznie pachnąca nornica, ale wczoraj trafił mu się spory kawałek wędzonego boczkusa, który znalazł na drodze wiodącej do wsi i po raz pierwszy od wielu dni jego żołądek był wypełniony po brzegi treściwym pokarmem. Był dumny ze swojej instynktownej zapobiegliwości; gdyby nie ona, pewnie by nie przetrwał mroźnej i śnieżnej zimy. Polowanie i gromadzenie zapasów przychodziło mu z dużym trudem; miał zgruchotany staw biodrowy i znaczny ubytek tkanki mięśniowej w prawej tylnej łapie, pamiątka po spotkaniu z pewnym myśliwym. Mimo to udało mu się przed nastaniem mrozów zapłacić spiżarnie kretami, nornicami i myszami polnymi. W nieczynnej żwirowni upolował wiele jaszczurek i kilka zaskrońców. Cóż, nie były to jego ulubione dania, przynajmniej nie wszystkie, lecz nie wybrzydzał, chwycił wszystko co było w zasięgu zębów i pazurów i co nie uciekało na drzewa. Ptaki, niestety, uciekały; były zbyt szybkie dla jego jedynie trzech sprawnych łap. Wypadów do wiejskich kurników nie ryzykował, gdyż w każdym obejściu był co najmniej jeden, może niezbyt mądry, lecz czujny i hałaśliwy kundel. Przetrwał długą, mroźną zimę. Kulas przetrwał. Sprzyjała mu kryjówka, stara borsucza nora na nadrzecznej skarpie, którą ulepszył i pogłębił, gdy tylko ją odkrył. Oprócz głównego wejścia miała jeszcze dwa inne dobrze ukryte w korzeniach drzew. W promieniu kilometra nie było żadnego mostu lub kładki, więc ani ludzie, ani wiejskie



psy nie wałęsały się w pobliżu. Jedyńm łącznikiem z drugim brzegiem była zwalona przez wiatry, zawieszona metr nad wodą brzoza. Okoliczni mieszkańcy, wędkarze i grzybiarze bali się po niej przechodzić – jej pień nie był zbyt szeroki – on, mimo kalectwa, całkiem nieźle sobie radził. Jeśliby jej nie było, musiałyby przepływać na drugi brzeg, mimo że nie lubił moczyć sierści. Rzeka miała dosyć wartki prąd, nie zamarzała nawet podczas silnych mrozów, więc zimą także mógł spokojnie spać; od strony rzeki nikt nie mógł go zaskoczyć. Nadrzeczny grąd porastały sędziwe buki i późną jesienią często buchtowały tam dziki poszukując owoców buczyny. Potem obżarte wylegiwały się pochrząkując w nadrzecznych, czarnych niczym smoła bagienkach – były jego przednią strażą. „Trzeba lisa, żeby złapać lisa”. Nawet kulawego.

Naprzeciwno nory, po drugiej stronie rzeki, stał niezbyt okazały, parterowy, podniszczony dom. Kiedyś jego ściany były białe, teraz pokrywała je pleśń, zielonkawe liszaje i liczne wodne zacieki, tu i ówdzie łuszczył się i odpadał tynk, zalewany z uszkodzonych rynien. Jedyne okno na strychu zaślepiały zmurszałe deski; wieczorami przez szpary wylatywały na polowanie nietoperze. W tym domu mieszkał samotny, zły człowiek. Zły, bo widział jak któregoś dnia katował kolkiem na podwórzu swojego psa, potem pies zniknął. Zły, bo kiedyś zaskoczył go w drewnitni, do której zakradł się w poszukiwaniu myszy, i cisnął w niego siekierą. Ostrze musnęło sierść na grzbiecie i z łoskotem utkwilo w belce podtrzymującej strop. Wcześniej w jednym z kątów drewnitni na zwałowisku trocin odkrył koci miot; cztery małe, ślepe, wtulone w siebie kocięta. Ich półdzika matka zapewne wyruszyła gdzieś dalej na poszukiwanie pożywienia. Nie zabił ich, chociaż był głodny..., zabił je zły człowiek. Roztrzaskał kolejno o ścianę domu i powrzucał do rzeki. Zły także dlatego, że jego szambo przy domu jest zawsze pełne i cuchnie, szczególnie latem, a jego zawartość nieustannie, cienką strużką sączy się ze skarpy do rzeki. Nie znosił tego zalatującego z podwórza odoru, lecz miał zbyt wygodne i bezpieczne legowisko, by je opuszczać z tego powodu. Zły, bo różnego rodzaju śmiecie i odpady wyrzuca na skarpe za domem; latem niknęły w wysokich na dwa metry pokrzywach, zimą przykrywał je śnieg – teraz, na przedwiośniu widać było je z daleka. Zły człowiek również kuśtykał, powłóczył lewą nogą i to jedyne, co mieli wspólne.

Słońce wysunęło się zza ściany lasu i pierwsze promienie zamigotały u wejścia do nory. Przeciągnął się leniwie i poddał się ich pieszczocie. W jednej chwili przestał się martwić o jutro. Może wraz z ciepłem i obfitością pokarmu znajdzie także towarzyszkę życia, której nie będzie

przeszkadzać jego ułomność. Ból i głód można jakoś przetrwać, samotność dużo trudniej. Żurawie już od tygodnia hałasowały na łąkach za rzeką, szykując się do rytuału zalotów, umizgów i godowych tańców. Ich klangor, rano i wieczorem, a często także w ciągu dnia, niósł się daleko nad lasami i polami, wywołując u niego pewien niepokój i podniecenie zarazem.

Koślawe, dawno niemalowane drzwi przedsionka zaskrzypiały jękliwie i mieszkaniec zapuszczonego domu wyszedł na próg. Był tak samo zapyziały jak jego chałupa i lat mieli mniej więcej tyle samo; pięćdziesiąt z hakiem. Ogarnął mętym wzrokiem pełne kałuż i błota podwórze, pozbawione płotu i jakichkolwiek drzew. Dawno je powycinał, jeszcze poprzedniej zimy, gdy zabrakło drewna do rozpalania w piecu. Budę tej wrednej suki, która nie chciała go słuchać i chodziła własnymi ścieżkami również porąbał i spalił. Resztki mokrego śniegu zachowały się tylko przy oborze i na zacienionych fragmentach drogi do wsi. Oddał mocz za rogiem domu, ziewnął przeciągle, pogrzebał w kieszeni i wydobył ostatniego papierosa bez filtra. Łeb mu trząsknął po wczorajszym pijaństwie niczym wiosenny lód na stawie; w ustach miał kwaśno-gorzki posmak taniego wina i mocnych papierosów. Splunął wczorajszym dniem i zaciągnął się łapczywie dymem i pewnie dlatego nie poczuł nowych, świeżych zapachów które przyniosła ze sobą odwilż, z wyjątkiem zapachu pełnego po brzegi szamba. Ten zapach był wszechobecny, lecz jemu nie przeszkadzał, przyzwyczyił się. Tak jak przyzwyczyił się do własnego rzadko mytego ciała, szorstkiej skóry i bólu kręgosłupa. Do samotności się nie przyzwyczyił. Od trzech lat był sam niczym kołek w dupie. Dla kogo miał się myć. Nawet nie ma do kogo zagadać, bo przecież z rudym, co mieszka na skarpie po drugiej stronie rzeki i wieczorami szwenda się przy chałupie nie pogada. Ślubna go zostawiła, będzie prawie trzy lata temu, teraz sprząta szatnie i kible na angielskim stadionie oraz pokoje tego rozwodnika, łysola, co z nim mieszka i któremu pewnie nadstawia tyłek rano i wieczorem, bo rznąć się, to Bezunia zawsze lubiła. Co to, to tak. I z nim, i z innymi, ale o tych innych dowiedział się dopiero po jej wyjeździe. Tu, w niewielkiej, rozłożonej pomiędzy rzeką a dwoma jeziorami lobeliowymi, otoczonej lasami wsią Udorpie trudno było cokolwiek ukryć, prędzej czy później każde wydarzenie, duże czy małe, wypływało na wierzch jak snięta ryba. Dla wielu rodzin kołowrotek życia od lat kręcił się wokół tych samych spraw i problemów: biedy, pijaństwa, choroby, zdrady, śmierci, narodzin i zakupów na zeszyt. Tartak, elektrownia wod-

na, kościół filialny, budynki dawnego dworca kolejowego, zrujnowana gorzelnia z bocianim gniazdem na kominie, i dwadzieścia kilka domów, ani brzydkich, ani ładnych – w niektórych straszy duch dziadka z Wehrmachtu – ot, i cała scenografia. Godne uwagi są jedynie: stuletnia elektrownia z turbiną Francisa i oryginalnymi żarówkami węglowymi firmy Osram, oraz kościółek z końca XVIII wieku, o konstrukcji szachulcowej, pokryty omszałym gontem, w którym proboszcz z sąsiedniej Wygody odprawia w każdą niedzielę półgodzinną mszę. Latem liczba mieszkańców Udorpia się podwaja: wczasowicze, turyści i kajakarze na Bystrzej nakręcają obroty jedynego wiejskiego sklepu „Pod Kasztanem”, ku zadowoleniu jego właścicielki, pani Lusi.

Na Kaszubach jest także inna wieś o nazwie Udorpie, ale jest w niej tak cicho i spokojnie, że nawet psy nie mają powodu by szczekać. Nie ma w niej rzeki i jeziora, nawet małego stawu nie ma żeby kaczki wypuścić, i wiaty pod sklepem nie ma, bo nie ma sklepu, nie ma tartaku ani elektrowni, nie ma nic. Krzyż tylko poczerwiał przy drodze stoi, otoczony lichym płotkiem, pod którym babiny układają plastikowe kwiaty i zbierają się na majowe. Ludzie żyją tam normalnie, po ludzku, i umierają normalnie, po ludzku, ze starości lub z powodu chorób śmiertelnych, a niektórzy z nudów. Nie to, co w tym Udorpiu, gdzie mężczyźni umierają jak prawdziwi mężczyźni: giną pod kołami samochodów, gdy pijani spadają z rowerów, przygniatają ich drzewa, topią się w rzece, lub wieszają się w drewniach, jakby jakieś fatum nad nimi wisiało, albo Purtk włochaty ingerował w ich los.

W tym Udorpiu niemal wszystkie baby, co jeszcze, albo co już rodzić mogą, wynoszą na wiosnę, na pokaz swoje zaciężone brzuchy, a latem przychodzą na świat małe udorpiątka, podobne po trochu do wszystkich chłopów we wsi. W tamtym Udorpiu cisza w obejściach aż dzwoni w uszach; starzy ludzie co pozostali w chałupach czekają na listonosza z rentą lub emeryturą, patrzą przez okna w pustkę i rzadko ze sobą rozmawiają, bo i o czym tu gadać, kiedy wszystko wiadome, a na to, co niewiadome, wpływu żadnego nie mają; co będzie, to będzie. W TV oglądają seriale, teleturnieje, prognozy pogody, dzienniki telewizyjne i czasem mruczą pod nosem: „Wszyscy w rządzie to złodzieje”.

O tamtym Udorpiu nic ciekawego powiedzieć się nie da, może tylko tyle, że nazwa wywodzi się z języka dolnoniemieckiego i oznacza wieś położoną na wzgórzu, co jest zgodne z prawdą, w przeciwieństwie do tego Udorpia, które leży w dolinie. Dlaczego są dwie wsie o tej samej nazwie, z których jedna jest położona na wzgórzu, a druga w dolinie, nie wie nikt z mieszkańców, ani żaden z powiatowych urzędników. Wiedział

stary Gutowski, co mieszkał w chałupie przy moście i za Niemca pracował przy wydobyciu margla, ale po pierwsze, już dawno nie żyje, a po drugie, nikt, nigdy o to go nie pytał.

Nazywał ją Beza, czasem słodko Bezunia. Gdy się poznali pracowała w cukierni w Borowie i uwielbiała bezy. Któregoś wieczora w parku na ławce zjadła osiem zamiast obiadu i popiła słodkim muscatem prosto z butelki; kwadrans potem zwymiotowała wszystko co zjadła i wypiła. Nie opierała się, gdy odchylił jej majtki i przyparł do drzewa. Tak została poczęta ich pierwsza córka. Był rok po wojsku, pracował w lesie jako pilarz i po ślubie od Lasów Państwowych dostał służbowe, trzypokojowe mieszkanie z kuchnią w Udorpiu. Tak do czterdziestki stawał mu niemal na gwizdek, wystarczyło, że zawiesił wzrok na jej szczupłych udach i niemal dziewczęcych biodrach. Gdy córki kręciły się po mieszkaniu, a ich wzięta chcica, szli na strych na starą zapadniętą wersalkę. Wolą, jeśli brał ją od tyłu. Rzadko mył zęby, więc przynajmniej nie czuła jego nieświeżego, przepalonego mocnymi papierosami oddechu. Wiła się pod nim i jęczała, a on pracował niczym dobrze nasmarowana piła spalinowa. Wiedział, że jej dogadzał i chyba tylko to tak naprawdę spajało ich związek, bo dla niej był prostakiem i kaszubskim chamem z dużym, sprawnym kutasem. Nie raz, szczególnie gdy popiła, wygarnęła mu to prosto w twarz. Przyjmował w milczeniu te oskarżenia, chociaż w środku gotował się jak niedzielny rosół. Kochał ją; tak przynajmniej mu się wydawało. Najważniejsze, że chętnie rozsuwała nogi. Średnio co dwa lata zaskakiwała, ale wszystkie ciężce, oprócz dwóch, kończyły się poronieniami i na szczęście bachorów nie przybywało, tak jak u innych rodzin we wsi – mieli dwie córki i wystarczy – chociaż syna to może chciałby mieć... Więc jak to tak, dogadzał jej aż furczało, a ona puszczała się jeszcze z innymi... kurwa jedna. Kochana kurwa. Wyjął z kieszeni jej zdjęcie wielkości pocztówki i pocałował z głośnym cmoknięciem, potem odwrócił i przeżegnał się; na odwrocie widniał kolorowy obrazek przedstawiający Matkę Boską Sianowską. Obie były ładne, jednak ta jego ładniejsza, wprawdzie nie święta, co to, to nie, ale umalowana, prosto od fryzjera, z tym swoim szelmowskim, wyzywającym, żeby nie powiedzieć kurewskim uśmiechem na twarzy.

Teraz, po latach domyślał się, kiedy i gdzie to mogło być. Co pewien czas przebywał kilka dni w delegacji, na ścinie w innych leśnictwach, a ona tu na miejscu najmowała się wraz z innym kobietami ze wsi do różnych prac pomocniczych w lesie; a to sadzenia drzew, a to zbierania gałęzi na wyrębach, lub pomocy przy montażu budek dla ptaków. W chłod-

niejsze dni leśnicy po pracy organizowali poczęstunek na jakiejś polanie przy ognisku; zawsze była gorąca zupa regeneracyjna i zimna wódka. Bezunia czasem odmówiła zupy, lecz alkoholu raczej nigdy. Co to, to nie. To on rznął drzewa w delegacji, a ją rznąli miejscowi. Na pewno ten chudy gajowy z Brzezinek, co robotę babom organizował, bo to pies na kobiety, żadnej szparce w okolicy nie przepuści, młodej czy starej, bez różnicy. Ludzie gadają, że od czasu do czasu odbywa nawet stosunki płciowe z podeszłą w latach Rumiankową, zielarką, co z głową ma coś nie tak. Przywoził jej drewno do pieca i nieraz widziano jak późną porą wymykał się z chałupy. Na drugi dzień Rumiankowa chodziła po łąkach za ziołami i nuciła miłosne piosenki. A Bąk, kierownik tartaku pewnie też, pasibrzuch cholerny. Kilka razy stawiał Bezuni piwo pod sklepem, fajkami częstował, ślinił się na jej widok, sadył komplementy i ostre dowcipy. Gad potrafi kobitę zbajerować, miał forszę, przekręty na drewnie robił, jak każdy, kto z lasu żył. Może i dał jej nieraz parę złotych, chuj go wie. Kto jeszcze? No jak to kto... a młody listonosz co na motorowerze po wsi pyrka. Przyjeżdżał zawsze w południe, cwaniaczek, gdy dzieciaki były w szkole, a chłopcy w robocie. A Hrabia, stary kawaler, co z matką przy elektrowni mieszka i na jej rencie żeruje. Ten pewnie też się dobrał do jej tyłka. Nierób, lecz całkiem przystojny, jak się w niedzielę umyje i ogoli. On też za każdą się obejrzy. We wsi mówią, że córka sołtysowej, co teraz wózek pcha przed sobą, to właśnie z nim ma dzieciaka. Niby do niego podobne, ale czyje naprawdę jest, nikt nie dojdzie, nawet młoda matka nie wie, bo puszczała się także z ochroniarzami na dyskotekach. Chłopaki na bramkach bez biletu ją wpuszczali za poruchanie. Hrabia głupi nie jest, całego Sienkiewicza przeczytał, nawet kilka razy. Innych książek nie ma, a te dostał od jednego wczasowicza, co ma księgarnię w Miastku. Oddał książki, bo mu zalegały na półkach. Kto teraz czyta Sienkiewicza? Hrabia różne kawałki z książek opowiada przy piwie. Najlepszy to ten jak gościa na pal za dupę wciągali, albo o tym śmiesznym grubasie, co dzban gorzałki potrafił wypić i z konia nie spadał. Nie to co Żyd, który po jednym winie i dwóch piwach z ławki się obsuwa. Bezunia mogła na Hrabiego polecieć, odczytany cholernik jest. Jemu listonosz tylko raz w miesiącu dostarczał darmową gazetę „Poradnik Pilarza”, którą pobieżnie wertował, za to Bezunia lubiła przy kawie i malowaniu paznokci rozwiązywać krzyżówki i szarady wydrukowane na ostatnich stronach. Raz go zapytała czy wie, kto to jest leśny doktor? Odpowiedział „pilarz” i chwilę potem dostał od niej laczkiem w łeb. Innym razem zadała mu proste pytanie z geografii: wymień naszych sąsiadów? Spojrzał na nią zdziwiony, że

tego nie wie, i zaczął dukać odliczając na palcach: Kreft, Labuda, leśniczy Weltz, no i ten..., no ten plastik, Bruno, co mieszka pod lasem. Milczała chwilę, tnąc go pełnym pogardy wzrokiem; zapaliła papierosa drżącymi palcami, odłożyła go na popielniczkę i zanosła się nerwowym, histerycznym śmiechem, rozlewając przy tym kawę. Dawno niepranemu obrusowi w słoneczniki było obojętne, że przybyła mu następna plama.

Córki już go nie odwiedzają; starsza mieszka gdzieś nad morzem, za rybaka się wydała i całkiem dobrze jej się wiedzie, młodsza uciekła z domu jak miała niecałe siedemnaście lat i podobno pracuje w jakimś burdelu należącym do rugbistów z Trójmiasta. Ważne, że ma pracę, całkiem niezłą, zarobi na siebie, a może i co odłoży. Twarze córek ostatni raz zamajaczyły mu jak przez firankę, dwa lata temu, przy szpitalnym łóżku, gdy leżał połamany po wypadku. Wcześniej starsza nawet co drugi tydzień była; ryb przywiozła, placków ziemniaczanych nasmażyła, zasłony wyprała, kuchnię ogarnęła. Teraz się nie zjawia..., dobrze wie dlaczego. Nie przyjedzie dopóki on pije. Ale jak tu nie pić z tej samotności, ciągłego wkurwienia i rozdygotania całego organizmu. Wie, że córka co jakiś czas dzwoni do koleżanki we wsi, z którą podstawówkę kończyła, i ta wszystko o nim jej wyklepie. Po szpitalu była raz, ale do chałupy nie dojechała. Natknęła się na niego na leśnej drodze, na której spał zalany w pestkę; mało brakowało by przejechała mu po nogach. Stała nad nim, popatrzyła z politowaniem, pokiwała głową i odjechała z piskiem opon. Gdy obudziły go krople deszczu, ujrzał obok siebie plastikową reklamówkę z kilkoma kilogramami wypatroszonych fląder. Smażył je potem dwie godziny i coś gadał sam do siebie. Czasem chce się skomleć, albo i wyć z tej pustki i beznadziei.

Usłyszał dobiegające z lasu głosy żurawi. Wkurwiały go co najmniej od tygodnia. Wrzeszczą i wrzeszczą jebane, bez sensu całymi dniami. Przypomniawszy sobie, że zanim trafił wczoraj do Krefta z dwiema butelkami wiśniowego wina, wziął w sklepie na zeszyt również pół kilka boczku. Gdzie on kurwa jest? Przetrzęsnał wszystkie szafki i zakamarki w kuchni, nigdzie go nie było. Pewnie zostawił u Krefta, albo zgubił po drodze, bo Kreftowa chyba mu nie zwędziła. Nie pamiętał drogi powrotnej. Nic, a nic. Bolały go żebra i nadgarstek, więc albo pobił się z kumplem, albo w drodze do domu leżał na ziemi parę razy. Sądził, że raczej to drugie, bo spodnie miał upieprzone błotem. Z Kreftem pracowali kilkanaście lat jako pilarze. Równy z niego chłop; wino owocowe za jedną przyssaniem wypija. Był chrzestnym jego starszej córki. Gdy popili, często się kłócili, zwykle o pierdoły, podskakiwali jak czupurne koguty, wykrzykując oskar-

żenia i przekleństwa, lecz do bójkii nigdy nie dochodziło. Co to, to nie. Zresztą żona Krefta, duża i silna kobita, że przy zrywce za kobyłę mogła by robić, nigdy by do tego nie dopuściła. Zajechali swoje zdrowie przy tej robocie, i to mocno, nie da się ukryć. Harowali jak tępe muły, w spiekoty, ulewy, śnieżyce. Las płakał, jęczał i stękał od padających świerków i sosen; ich piły zawodziły w kilku płaczliwych tonacjach od wczesnego rana do popołudnia, nierzadko dłużej jak trzeba było plan wyrobić, a trzeba było prawie zawsze. No i dorobili się choroby zawodowej, którą lekarze nazywają zespołem wibracyjnym. Do tego doszedł reumatyzm, zwyrodnienie stawów, schorzenia kręgosłupa oraz początki boreliozy. Obydwaj wylądowali na rencie, a renty jakie są, wiadomo. Chlali często i ostro, co na pewno nie pomagało w leczeniu schorzeń. Zresztą kto by się leczył, lekarstwa są drogie i jeszcze trzeba wydać na autobus do miasta, prawie tyle co na trzy piwa, a z powrotnym to i na sześć by wystarczyło. Gdy pracowali, comiesięczna dwudniowa popijawa była przy wypłacie; zrzucała się cała brygada i szef jechał autem do sklepu. Przywoził skrzynkę wody, skrzynkę wina i skrzynkę piwa. Pili do upadłego, zasypiali przy ognisku, budzili się, wymiotowali, oddawali mocz i znowu pili.

Kiedyś ocknął się koło południa; siąpił deszcz, ognisko ledwie się tliło, kilku kumpli już nie było, kilku innych wciąż spało na trawie, owiniętych kocami i pelerynami. W kieszeni wymacał portfel; kasa się zgadzała, oprócz tego, co dał na zrzutkę. Z trudem dźwignął się na kolana i mętnym wzrokiem ogarnął pobożowisko. Bał się myśleć o powitaniu jakie zgotuje mu Beza gdy doturla się do domu. To, że lodówka od dwóch dni pusta to chuj, najgorsze, że jego piękna nie ma kawy ani fajek. Bez tego była nie do życia; ciskała jobami, wierciła się, nabuzowana i nerwowa jak zapchlona suka. Gdy wczoraj rano wychodził do roboty, ostrzegła go, aby nie zalał pały, a wracając kupił kawę i fajki. W jednej ze skrzynek dojrzał dwie pełne butelki wódki i jedną napoczętą. Sięgnął po nie; dwie ukryje gdzieś po drodze, najlepiej w jakiejś dziupli, a napoczęta będzie dla Bezuni. Pociągnął spory łyk i zataczając się obrał kierunek w stronę wioski. Kupi tę pieprzoną kawę i fajki, a sobie musowo piwo, albo dwa.

